
Zaczyna się niewinnie: od jednego piwa. Tak po prostu

i bez okazji. Pod koniec tygodnia są już trzy. Piwo jest rzeczą niewinną. Każdy je pija. A on jest taki zmęczony. Jedno piwo dla lekkiego rozluźnienia. W końcu przychodzi upragniony weekend. Wiktor pije w piątek kilka drinków – przecież jutro nie idę do pracy. W sobotę rano poprawia – tak na kaca.

Ale za tydzień drinki zaczynają się już w czwartek, a leczenie przeciąga nieznacznie do poniedziałku – jakoś trzeba sobie radzić, by móc pójść do pracy. No przecież taki połamany nie wsiądzie do samochodu

- Piwo z rana jak śmietana – i tydzień później bierze wolny poniedziałek. Jeszcze trzy – cztery tygodnie – i ma ciężką gripę. O cudowny Zachodzie, gdzie nikt nie żąda zaświadczeń lekarskich dotyczących absencji. Wiktor może pozwolić sobie na powolne zanurzanie się w Gorbatshowie lub tekili.

Od kilku dni nic nie je. Wszystkie tłuste kiełbasy, salcesony, ogórki kiszzone i marynaty którymi zagryzał w pierwszych dniach przeleciały przez żołądek już dawno. Teraz pojawiła się krew. Trzeba uważać. Trzeba jakoś ułagodzić wrzody?

Nie, Wiktor nie ma wrzodów, a skoro się nawet otwarły

i krwawią, to jedynym lekarstwem jest spirytus. Pity duszkiem. Mijają kolejne dni. Spokoju – gdy śpi. Namolności i dręczenia, gdy łązi po domu. Coraz bardziej rozmarłany, śmierzący przetrawioną gorzałką i papierosami. Wymięty. Przelewający się. Trudno go ominąć. Nie jest agresywny. Wręcz przeciwnie.

Cały czas chce by go przytulać, słuchać, opowiada bez końca,
kocha nas niesłuchanie i niedługo podbije cały wszechświat,

a czasem „bo ja jestem tylko takim dziadem, który wszystkim
zawadza.” I wtedy jest płacz, roztkliwianie nad sobą

i parszywym losem. Ale to świat jest zły. Kierownik w pracy,
kraj, w którym mieszka, ludzie, którzy go opuścili, trawa, która
nie chce wyrosnąć na trawniku przed domem, ten cholerny
właściciel knajpy, który nie chciał sprzedać mu drinka

rok temu, matka i ojciec, kobiety, które za mało kochały,

i deszcz, który padał, gdy poszedł na ryby, i ryby, które

nie chciały brać. Mija kilka kolejnych dni. Rytm dnia i nocy
przestaje istnieć. Kładziemy się spać i nie wiemy,

czy za godzinę nie zbudzi nas tęskniący za nami mąż i tatuś

w jednej osobie. Szczególnie jest to męczące, gdy boję się
usnąć, bo jeśli tęsknić będzie akurat za dziećmi? Co zdąży

z nimi zrobić, nim wyrwie mnie ze snu jakiś trzask, huk, płacz?
On przecież działa na pograniczu jawy i snu. Miewa zwidy –

i to nie tylko pająki-potwory, ale słyszy coś czego nikt nie
powiedział, widzi coś, czego nie zrobiliśmy. Kiedyś rzucił
Michałem – swoim najukochańszym, niespełna dwuletnim
Chałkiem, o ścianę, bo mu się wydawało, że zamierza się

na niego siekierą. Albo z nagłą ewakuował dom, nas, w deszcz
na dworze, wyrzucając co mu padło pod rękę, by ratować przed
domniemanym pożarem. Nie znosił sprzeciwu. Nie uznawał

dyskusji. Jedyne, co przyjmował, to cierpliwą akceptację. Czasem wręcz jej żądał. Wymuszał zeznania, dopytywał się

po kilkanaście razy i jeśli ton odpowiedzi wskazywał

na znużenie lub zniecierpliwienie przesłuchanie powtarzało się z nieubłaganą pewnością. Z początku reagowałam smutkiem. Niebotycznym smutkiem. Z czasem – lękiem. Nie byłam

w stanie nic jeść, spać, jakkolwiek funkcjonować. Wszystko obracało się wokół minimalizowania kosztów Wiktorowego picia – na nic innego nie starczało sił i czasu. To było kolosalne napięcie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Bez odpoczynku. Bez jedzenia – bo nic nie było w stanie przejść przez zaciśnięte gardło. I ten ciągły lęk, że coś się stanie, że okaleczy siebie, albo po prostu wypije tak dużo,

że się już nie obudzi. Mój ukochany zamykający się w szklanej kuli, nierealnej, wyjący z samotności i nie pozwalający sobie pomóc.... To znów woła do siebie dzieci, próbuje częstować alkoholem. Bo zanim się przestanie, trzeba wypić wszystko

do końca. Do ostatniej kropli. Koniak to koniak. Reszta metaxy – choćby robak na dnie – też dobre. Sfermentowany, spleśniały kompot – świetnie. Spirytus salicylowy, nalewka bursztynowa, wyciąg z aloesu, czy płyn do mycia szyb. Wszystko jest dobre. A gdy się już wysączy ostatnią kroplę, można zacząć trzeźwieć. Trzeba jeszcze tylko zdobyć flaszkę (najlepiej wina, choćby najpodlejszego) na kaca. A potem następuje wynurzanie.

Powolne, delikatne, niezwykle ostrożne (głowa niczym kryształ pełen zdradliwej cieczy, która przy każdym pochyleniu

niezwykle boli, oczy przymrużone, nie znoszące światła, ciało, w którym tli się ból każdego mięśnia,

ból przypominający zakwasy). Wynurzenie przypomina raczej dryfowanie leżącego na wodzie. Żadnych gwałtownych ruchów. A gdy już głowa na tyle przetrzeźwieje, że ranek jest rankiem i dzień dniem, pozostaje w Wiktorze jakieś wspomnienie niesmaku ostatnich wydarzeń. Dopytuje się,

co właściwie robił i strasznie się wstydzi wszystkich głupot. Kocha nas stokroć bardziej i wciąż powtarza, że już nigdy, nigdy tak, bo przecież to głupota. Jest słaby, słabiuteńki

i trzeba się nim opiekować czule niczym niemowlęciem – karmić glukozą i witaminami, może jakimś wywarem z jarzyn, czy gotowanym chudym mięsem. Ale już się nie muszę zrywać nocą i wreszcie mogę zasnąć.

Po trzech dniach Wiktor jest rzeński i zdrowy, pełen zapału i pomysłów na reformy.

- Kryśka! Bój się Boga, co za burdel w chałupie!

I ty tu dzieci chowasz? W takim smrodzie?

No właśnie: burdel. To prawda, przez te wszystkie nieprzytomne dni zapuściłam dom, a jedyne na co mnie było stać, to karmienie i opieranie dzieci. Nawet nie wyprałam materaca na który załatwił się Wiktor – poprzestałam

na wyniesieniu go do ogródka... Zwlekam się więc półprzytomna i zaczynam sprzątać. Tak mijają najbliższe dwa tygodnie. Na tyle starczy Wiktorowi cierpliwości. A potem...

potem po prostu znów kupuje piwo, dwa, trzy – bo ileż
człowiek może babie tłumaczyć skoro durna

i tak nie zrozumie?

Trochę zagalopowałam się z opowieścią. Bo wtedy Michałek
jeszcze się nie urodził. Byłyśmy tylko my dwie. Pijany Wiktor
zachowywał się jak wielkie rozpuszczone dziecko, z którym bez
przerwy trzeba było się bawić, bez względu na porę dnia

i nasze pomysły na życie. Więc zawieszałyśmy wszystko

w przestrzeni i bawiłyśmy się - czasem tydzień, czasem dwa,
niekiedy miesiąc. W końcu przychodził czas trzeźwienia

i gorączkowej pracy – nadrabiania wszystkich zaległości –

i tych w ogrodzie, i tych w warsztacie, i tych w pracy. Znów
jeździliśmy rowerami, chodziliśmy po lesie. Znów na targach
ulicznych polowaliśmy na starocie.

To wtedy poznałam małe miasteczka pogranicza Niderlandii

i Niemiec, Fryzlandię i cudowne, różowo-beżowe Ardeny.

Raz w miesiącu w Arnhem siwy polski ksiądz odprawiał

Mszę świętą dla emigrantów. Kilkadzieśnię osób, trochę dzieci,
trochę Polek które się wydały za miejscowych i teraz pomstują
na kartofle z endywią, większość jednak stanowiła orkiestra
filharmonii arnheńskiej – nasi muzycy, którzy całymi rodzinami
przybyli tu w latach siedemdziesiątych za chlebem. Spotkania

przeciągały się do wspólnych obiadków, kolacji, ploteczek, narzekań na Holendrów i ich dziwne zwyczaje

i tęsknoty za tym, co zostało tam - w Ojczyźnie.

Wtedy też ściąłam włosy. Moje włosy, które były do pół łydki, króciutko - do pół ucha. Wiktor o to prosił. Tłumaczył, że pora pożegnać dzieciństwo. Że trzeba w końcu wydorosnąć.

- Te kłaki tylko płaczą się wszędzie.

Trochę to było dziwne, bo wszyscy panowie zawsze szaleli

z zachwyty, że takie długie, gęste i przywoływali pamięć lady Godaive'y. Ale skoro mu się nie podobały? Ściąłam. Hanusia chciała powiesić je niczym skalp w swoim pokoju.

- Będę jak dawniej trzymać cię mamusiu za warkocz...

Ale Wiktor się nie zgodził. Więc schowałam je do skrzyni.

Hanusia zaczęła wstawać coraz wcześniej. Zdarzało jej się dzwonić do drzwi koleżanek o czwartej rano. Nie wiedziałam

o tym. A kiedy zaspani Holendrzy poskarżyli się Wiktorowi - "tatuś" wziął się za wychowanie niesfornej panienki. Boże!

Że wtedy nie rozumiałam, co się dzieje z moim dzieckiem!! Powoli byłyśmy odsuwane od siebie, powoli - w każdej sprawie decydował Wiktor. I zaczęły się kary - bez deseru,

bez telewizji, bez wychodzenia na podwórko, bez kolacji wieczorem, o chlebie i wodzie - dzień, dwa, tydzień.... Zaczął ją

bić. Na razie to były "tylko" klapsy. Wielką łapą. Moja obrona przynosiła odwrotny skutek - gdy wstawiałam się

za Hanusią, Wiktor podwajał kary. Ja przecież nie umiałam

jej wychować. On naprawiał w pocie czoła moje błędy. Staralam się jej pomóc, sprostać wymaganiom Wiktora. Tuliłam pokątnie, gdy go nie było. Oddalała się ode mnie. Chciałam wracać – choć nie miałam gdzie i za co (bilety

do kraju dla nas dwóch to minimum czterysta guldenów). Miotalam się w bezsilnej złości. Wiktor umiał wyczuć

te momenty. I z nagłą robił się dobry, kochany, cudowny. Umiał wyczuć? Czy może czytał moje listy, które brał

do wrzucenia. Zdarzało się, że nie dochodziły. I tak moi przyjaciele mieli słodki sielankowy obraz naszej rzeczywistości, a ja poczucie, że nikogo nie obchodzi, co się

z nami dzieje, skoro ślubowałam, że go nie opuszczę aż do śmierci.

Nie miałam pieniędzy nawet na podróż do Hagi, do ambasady, a dogadać się z miejscowymi było niemożnością, zważywszy na mój szczątkowy angielski i ich pogmatwany tubylczy język. Co prawda bardzo chciałam się go uczyć, ale usłyszałam,

że to by było marnowanie czasu i pieniędzy, bo to język trudny, nie na moją głowę, a przecież i tak niedługo wrócimy do Polski. Kiedyś, robiąc okład na czerwony, pięciopalczasty odcisk na udzie Haneczki powiedziałam jej, że wrócimy. Popatrzyła na mnie poważnie.

- Nie mamusiu. Nie wolno ci. Ja wszystko wytrzymam,

ale jeśli będziesz stąd wyjeżdżać, to ucieknę i tu wrócę.

- Hanusiu, przecież on cię ciągle bije, nie jest dobry

dla ciebie...

- Dla mnie nie, ale ten dzidzius, co się urodzi, musi mieć tatusia. Wystarczy, że ja nie mam.

Pląkałyśmy obie. I nieraz potem, gdy powtarzała swą deklarację. A dzidzius rósł. Już nieźle się rozpychał,

gdy pojechaliśmy na dwa tygodnie wakacji do Polski. Jechałam z postanowieniem, że zostanę. Nie wiem gdzie i jak, ale oszukam Haneczkę i zostaniemy, uciekniemy od Wiktora. Urodzę dziecko i wtedy zobaczymy co dalej. Ale gdziekolwiek się pojawialiśmy, wszyscy mówili, jak dobry wpływ

na Haneczkę ma Wiktor. Jak ona się poprawiła i jak on się stara. Bo się starał. Przechodził sam siebie. W Polsce. Chwalił się córką przed rodziną, brał na kolana, opowiadał o wspólnych wyprawach i postępach w szkole, kupował różne drobiazgi

i śmiał się. Haneczka zdziwiona nieco chłonęła całą sobą

tę zmianę. Wierzyła, że wreszcie zasłużyła, zadowoliła „tatę” – i tym bardziej starała się odgadnąć jego pragnienia i tym bardziej promieniowała szczęściem. Ostatni wieczór

w ojczyźnie mieliśmy spędzić na imprezie u znajomych Wiktora, gdzieś w domku letniskowym "po drodze".

- Wszystko, żeby Krysi skrócić maksymalnie etapy podróży. Sama mama wie, w tym stanie jeszcze mi urodzi po drodze – tłumaczył przy pożegnaniu z moją matką.

Zalesiona działka. Duży drewniany dom z bali, duży taras

i dużo, dużo ludzi. Może trzydzieści, może nawet więcej osób. Dzieci, a więc i Haneczka pobiegły na piętro. Byłam zmęczona i półsenna, ale Wiktor bawił się świetnie. Pił dużo, tańczył jeszcze więcej. Bardzo chciałam zatańczyć z nim. Ale ci obcy ludzie tak mnie oblegali! Znużona odpowiadałam

po raz kolejny na te same pytania:

- Naprawdę malujesz?

- A jaką techniką?

- To Hania jest twoją córką?

- A to Neechem, jak wam się mieszka?

I nagle pomiędzy panią A i panem B z otaczającego mnie kółeczka (co ja u licha taka jestem popularna?) nagle widzę Wiktora z jakąś panienką.

- To niedaleko jakiego dużego miasta?

Tańcząc włązi na nią, podciąga sukienkę...

- Arnhem!

Znowu. Wkłada rękę za jej dekollet na plecach...

- Czy to to Arnhem od Bitwy pod Arnhem?

Boże! Co tam się dzieje! Zazdrość? Wstyd. Przede wszystkim wstyd. Nagłą, gorącą falą. Bo zrozumiałam, że ci wszyscy

tu dawno ich zauważyli, zagadują mnie, jak mogą, chcąc uchronić? Uniknąć awantury? Z litości? Jakiś facet podchodzi

do nich, coś tłumaczy, Wiktor go odpycha i przyciąga do siebie mocno panienkę. Wydrapałabym jej oczy. Albo udusiłabym. Najlepiej jedno i drugie.

- A nie wymawia się tego przypadkiem Arnheim?

Co mnie obchodzi, jak się to wymawia. Tam mój mąż niemal pieprzy się publicznie z jakąś dziwką. Ktoś pociąga mnie

do domku, sadza w salonie, podaje sok wiśniowy. Wiśniowy jak krew. Wstyd zalewa mnie znowu. Nagle pojawia się Wiktor. Bierze mnie za rękę i wyprowadza na środek parkietu. Czuję oddech – westchnienie ulgi wszystkich wokół (prócz panienki, ale jej chwilowo nie widać). Wiktor zbliża się do mnie

w tańcu. Czuję jego zapach. Chce mi się płakać. Ale przecież już po wszystkim. Czekam na przeprosiny. Poniosło

go. Panienka może była zbyt wulgarna. Kilka kieliszków

za dużo. Ale to mój Wiktor. Zabiję go kiedyś, tylko nie teraz. Teraz się wypłaczę. Opieram głowę na jego ramieniu

i jednocześnie on zanurza rękę w moich włosach. Już dobrze – myślę. Głupio mu. I wtedy palce zaciskają się w moich włosach. Nie mogę się ruszyć. Boli. Nie mogę krzyknąć mam w ustach, nosie, oczach przepoconą koszulę. Duszę się!

- Jak się patrzę na ciebie, na ten brzuch, rzygać mi się chce. Nie widzisz tego? Lustra w domu nie masz? Jesteś grubą obmierzłą suką!

Odpycha mnie gwałtownie.... odchodzi..... zostaję sama na środku parkietu... łowię powietrze gestem ryby wyciągniętej

na brzeg. Wokół tańczą ludzie. Kiepski żart? Sen? Boże!

To nie może być prawda. Łapię oddech jak ryba. Nikogo tu nie znam. Gdzie jest Haneczka? Koniec świata. Jezioro. Domek

w sitowiu... Boże to musi być sen... Przecież Wiktor!... Wiktor znów tuli panienkę. Tę samą. Podtrzymuje ją za pupę, jest tak pijana, że chyba upadnie... całują się na środku tarasu, coraz natarczywiej, gwałtowniej... Boże!... oddalają się w stronę zarośli... znikają.

Gdy oprzytomniałam w mojej ręce znowu jest szklanka soku – ale ten ma kolor pomarańczowy, zawiesisty, ciężki....

a troskliwa pani domu opowiadała... o czym? Nie wiem. Potok słów, monotonny, uspokajający jak rzeka w rozlewiskach. Potok łez, cichych łez po moich policzkach. Rozumiem pojedyncze słowa... jakiś powracający motyw... Aha!

Że powinnam się położyć. Idę gdzieś, martwo nieprzytomnie. Jakieś ciężkie drzwi zamykają się za mną. Zasypiam w ich małżeńskim łóżku.

- Nic się nie martw - słyszę głos Marioli jak przez mgłę – to po pijanemu. Jutro wytrzeźwieje i wszystko wróci do normy...

Obudziło mnie szarpnięcie. Pijany Wiktor ściągnął mnie wraz z kołdrą na ziemię. Jest wpół rozebrany. Właściwie wygląda śmiesznie - jak każdy facet w T-shircie i bez majtek. Włazi

do łóżka Marioli. Coś bełkoce. Zrobiło się zamieszanie. Krzyk. Przybiega Zenek.

Nie wiem, czy ktoś dał mu wtedy w mordę. Świtem wyjeżdżaliśmy. Milcząc, zapakował nas do samochodu. Gospodarze chyba spali. Nikt nas nie żegnał. Ruszyliśmy

ku Neechem. To była nasza ostatnia wspólna wizyta u Zenków.

Dojechaliśmy do domu w środku nocy. Rano Wiktor poszedł do pracy. Przez kilka następnych dni unikałam go. Nie chciałam na niego patrzeć. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

- I co ty chodzisz Krycha taka naburmuszona jakbyś flaszkę octu wypila?

Nie, nic nie pamiętał, żadnej panienki, żadnej awantury.

- Tobie to się coś musiało przewidzieć. Żle się bawiłaś?

A może kto ci nagadał czego, a ty głupia uwierzyłaś. Może

po pijaku sam coś powiedziałem, ale kto bierze poważnie słowa pijaka? Krycha! Przestań udawać małą dziewczynkę i wreszcie wydorósłej! Bo to się tak żyć nie da.

Więc to wszystko sobie wymyśliłam? Boże, jak, kiedy i po co? Jednak Wiktor utrzymywał swoje z uporem godnym innej, lepszej sprawy. Wyśmiewał moją podejrzliwość i nawet kupił mi tulipany. A po tygodniu przeniósł swoje rzeczy z naszej sypialni na górę, na strych, do swego dawnego pokoju.

- Bo ty teraz musisz mieć więcej miejsca, a poza tym ja muszę mieć trochę spokoju i samotności.

Tęskniłam za nim. A kiedy się przytulałam – sztywniał. Zabrał się też do uczenia Hani pisania i czytania po polsku - bo do tej pory jakoś nie bardzo jej to szło. Co prawda jak na sześć i pół

roku może by i wystarczyło tej wiedzy, ale ambicje "tatusia" były większe niż koślawe wielkie litery i sylabizowane proste słowa. Uczyli się teraz systematycznie, codziennie. Ja miałam wolne – to znaczy mogłam robić wszystko, byleby im nie przeszkadzać, bo za bardzo rozpraszałam Małą. Wiktor brał

ją na kolana... Nauczyła się czytać i pisać w tydzień. Potem dostała bardzo dużej gorączki i wobec bezradności naszego lekarza musieliśmy oddać ją do szpitala. Podejrzewano wszystko – od białaczki po AIDS. Różnica pomiędzy polskimi a zachodnimi szpitalami polega na tym, że tam jak już dopadną pacjenta, robią mu wszystkie możliwe badania – byleby był ubezpieczony. A Haneczka była. Prześwietlenia, pobieranie krwi, ale i kontrasty, ekg, eeg, echo wszystkiego co w środku, nawet badanie wzroku i słuchu. I pobieranie szpiku – niezwykle bolesne, ale konieczne, by wykluczyć białaczkę. Przez ten cały magiel przechodziła gorączkująca powyżej czterdziestu stopni Hanusia. Byłam u niej od rana do piątej-szóstej po południu, gdy przyjeżdżał po mnie Wiktor. Holenderscy lekarze proponowali mi leżankę i noclegi przy jej łóżku, ale mój mąż w trosce o moją ciężę stanowczo nie godził się na to. Po dwóch tygodniach wyszła do domu

z rozpoznaniem mononukleozy? Mononukleozy, którą

już miała w Polsce dwa lata temu – tylko w to nikt nie uwierzył, bo wiadomo jaka jest ta postsocjalistyczna służba zdrowia. Nikt przecież nie brał pod uwagę w tej szczęśliwej rodzinie emigrantów podłoża psychosomatycznego.

A Haneczka gorączkowała nadal. Praktycznie przez sześć tygodni. W tym czasie było kilka nawrotów choroby. Brała antybiotyki. Zaliczyła grypę z powodu osłabienia organizmu.

Ale przede wszystkim zamykała się w sobie, oddalała, patrzyła na mnie nieobecny bardzo smutnym spojrzeniem. Wiktor

nie pozwalał mi opiekować się nią – bo to nie wiadomo jaka zaraza, a ja miałam przecież lada dzień rodzić. Sam doglądał Haneczki. Nawet jej czytał i opowiadał bajki. Jeździł do pracy już z rzadka, biorąc ustawicznie zwolnienia. Pił umiarkowanie – cały czas pozostawał na lekkim rauszu – ze zdenerwowania. O mnie. O dziecko. Zrobił własnoręcznie kołyskę. Malowaliśmy ją wspólnie – on smoka, ja – w polne kwiaty.

- Urodź już wreszcie. Za stary jestem na takie czekania.

Tak minął ostatni miesiąc mojej ciąży. A tego dnia zdążyliśmy być na polskiej Mszy św. W kościele w Arnheim, odwiedzić znajomych muzyków z filharmonii (drugie skrzypce i altówka) – jako i my – emigrantów, zdążyłam zrobić obiad na jutro

i potajemnie ucałować moją córeczkę – i przy malowaniu kołyski, ostatnich maków i chmielu – nie potrafiłam już ukryć, że się zaczęło.

Naszej położnej nie było. Przyjechała dyżurna Tiny Maus

(Tini Myszka). Piękna pani lat około pięćdziesięciu, z kokierni siwych włosów i olbrzymią radością w sercu. Przyznała się

na wstępie, że uwielbia odbierać porody i że pomimo moich obaw powinnam rodzić w domu. A na dworze rozszalał się sztorm. Łście holenderski, gdzie wiatr niesie deszcz poziomo, wszystko wyje i ugina się, i trzeszczy w posadach. Dom płacze, ziemia płacze, drzewa skomlą miłosierdzia.

Wiktor był czuły, opiekuńczy, dobry, pomagał mi we wszystkim, pilnie słuchając Tini. Przez tych parę godzin nadrabiał za wszystkie podłości poprzednich miesięcy. Mówił, że jestem dzielna i gdy tej dzielności mi brakło – trzymał mnie za rękę, otwierał szeroko okno wprost na sztorm, gdy się dusiłam, i otulał szczelnie kołdrą, gdy szczękałam zębami

z zimna. Ten jeden jedyny raz był przy mnie. A potem urodził się Mały Człowieczek, przy przygaszonym świetle w środku nocy rozglądał się niewiele widzącymi oczkami i ze zdziwioną, zafrapowaną miną badał, rozchylając paluszki przedziwny świat na który mu przyszło przyjść. Właściwie nie płakał –

od razu się dziwił. Wiktor drżącą ręką przeciął pępowinę,

a potem nieporadnie podał mi go do przytulenia. I takiego przytulonego, jeszcze umazanego i niezbyt zorientowanego,

co tu się właściwie dzieje brata, po raz pierwszy zobaczyła Haneczka. A potem Wiktor zasnął przy nas, śmiejąc się wciąż przez sen. Patrzyłam na mojego maleńkiego synka i na jego szczęśliwego ojca. Bardzo ich kochałam. Miałam wrażenie,

że oto z narodzinami Michałka całe zło zostało z nas zdjęte, wszystko co nas dzieliło – przestało się liczyć.

Ten uśmiechnięty mężczyzna o twarzy dziecka nie mógł być zły. Promieniował radością, pokojem. A ja modłam się

i dziękując za cud narodzin, wiedziałam, że zrobię wszystko dla tego uśmiechu, dla tej radości promieniującej, dla tego człowieka, który w jednej chwili przestał być samotnym, zamkniętym, kaleczącym wszystkich i wszystko.

W Holandii jest pewien zwyczaj: matka rodzi w domu, położna jej pomaga, ale im obu pomaga ojciec. Mężczyzna nie ma tam czasu na świętowanie pępkowego i rozsiadanie się w fotelu – to on zmienia pościel, prasuje kaftaniki, podaje żonie obiad

do łóżka. To on otwiera bez przerwy drzwi kolejnym odwiedzającym, bo zwyczaj każe wystawić przed domem oseska bociana, rozwiesić powitalny transparent, wysłać zawiadomienia znajomym i krewnym, a oni wraz z sąsiadami, a czasem i po prostu przechodniami z ulicy całymi pielgrzymkami odwiedzają matkę i dziecko, przyjeżdżają

w sypialni, z czasem w salonie orzeszkami i piwem, kawą

i kruchym ciastkiem świętują, witają, gratulują. Jest to chyba jedyny moment, gdy dozwolone są odwiedziny spontaniczne, niezapowiedziane. We wszystkich innych przypadkach – sąsiadka do sąsiadki, koleżanka, ba! matka do córki, czy córka do matki – niezależnie od stopnia pokrewieństwa,

czy zaprzyjaźnienia – obowiązuje wcześniejszy telefon. Biedni Holendrzy patrzyli ze zgrozą na nieobyczajność Słowian, szczególnie Polaków, którzy potrafili nawiedzać się o każdej porze i w każdym składzie. Wiktor dwoił się i troił, jednocześnie wciąż podśpiewywał, przytulał nas, brał Chałka na ręce, kąpał go wsłuchiwał się w każdy dźwięk, godzinami

z nim dyskutował: jego radość przypominała tę z pierwszych godzin po naszych zaręczynach. Piątego dnia, gdy pojechał

do pracy zawiadomić kolegów, zeszłam na dół i szukając mleka, które piłam wtedy w dzikich ilościach kilku kartonów dziennie, zajrzałam pod schody, do spiżarenki. W równych rzędach jak

kompania reprezentacyjna Wojska Polskiego stało tam
jedenaście flaszek, po trzy czwarte litra każda,

po Gorbatshowie... Usiadłam na podłodze zdumiona. Kiedy

on to wypił? Na pewno tego nie było przed porodem,

bo tamtego dnia robiłam jeszcze obiad i brałam ze spizarki
ziemniaki. To są ponad dwa litry gorzałki dziennie.

Ale przecież nie przewracał się, nie sprawiał wrażenia pijanego.
No może wieczorem stawał się bardziej bełkotliwy

i prędko zasypiał – ale kładłam to na karb zmęczenia –

w końcu cały dzień był zabiegany. Wyglądał jakby wypił, ale nie
więcej niż dwa kieliszki. Dwa kieliszki to nie dwa litry...

I to dzień w dzień. W ostatniej flaszcze na dnie była jeszcze
resztką wódki.

Nie tłumaczył niczego. A ja bałam się pytać. Pod koniec
następnego tygodnia po prostu spakowałam już ponad
dwadzieścia flaszek i wyniosłam do najbliższego pojemnika na
szkło. Był to jeden z pierwszych spacerów Michałka,
opatulonego w wielki jak na trzech takich szkrabów polarny
śpiwór, starym brązowym wózkiem kupionym z ogłoszenia.

I tak już miało być codziennie. Wszystko jedno, czy Wiktor był
w domu, czy nie - wychodziliśmy zaraz po odprowadzeniu
Haneczki do szkoły i wracaliśmy tak, by zdążyć na jej przerwę
obiadową około trzynastej. Tych parę godzin włączę – to był
nasz świat. Poza Wiktorem. Poza jego świadomością.
Robiliśmy zakupy – wszak przy przydzielonym mi przez Wiktora
budżecie i wymaganiach co w domu (raczej lodówce) być

powinno musieliśmy odwiedzić wszystkie niemal sieci sklepów (każda sieć miała grupy tańszych produktów), targowisko i serowarnię. Mieliśmy ulubione wystawy i powoli zaczęliśmy mieć swoich znajomych. W tym też czasie odkryłam ze zdumieniem, że mieszkam w miasteczku katolickim, gdzie są dwa kościoły. Ten wielki, piękny w swej bryle gotyk, przypominający gdański kościół Najświętszej Marii Panny o tępej wieży – to nie muzeum, jak utrzymywał Wiktor, a stary O.L Vrouw Kerk. Z niego trafiłam

do nowszego Sant Martinus'a – ukrytego wśród starych platanów, niewielkiego, o łamanym dachu i brukowanej posadzce. Zaczęłam dogadywać się z Holendrami. Otoczyli mnie serdecznością i opieką – godzinami wsłuchiwali się

w moją fatalną wymowę, by cokolwiek zrozumieć – zawsze

z jednakowym serdecznym: „ależ mówisz po niderlandzku dużo lepiej niż my po polsku”. Poprosiłam o codzienną komunię św. Proboszcz zamyślił się.

- W niedzielę masz nabożeństwo w starym kościele, we wtorek w domu starców, w środę i piątek tu.

- A poniedziałek i czwartek?

- Hm... jedyne wyjście to Pit.

Pit okazał się przemiłym olbrzymim Holendrem, (tacy musieli być marynarze – zdobywcy nowego świata i najemni żołnierze służący niegdyś również w Rzeczypospolitej, a w swej ojczyźnie walczący o niepodległość i prawo do reformacji przeciwko Hiszpanom). Pit, o szerokim uśmiechu i pasującym do siebie

nazwisku van de LEUW (Lew), był administratorem nowego kościoła, dbał o porządki, dach, reperował zamki

w drzwiach i zatrudniał nowego organistę, przywoził kwiaty

z targu, strzygł trawniki i nosił przy sobie wielki pęk kluczy. Jeden z nich, mały i niepozorny był kluczem do Tabernakulum. I tak nasza codzienna wędrówka zaczynała się od kościoła.

We wtorki Chatek podziwiał olbrzymie kolorowe akwarium pełne mieniących się cudów, ptaki w wolierze – kilkadziesiąt najjaskrawszych papużek i kanarków, a gdzie się pojawił witały go uśmiechy i nieraz pełne serdeczności objęcia starych ludzi żyjących w pensjonacie pełnym luksusowych aut

na parkingu. W ciepłej kaplicy siedział na pluszowym dywanie gaworząc, raczkując wyraźnie uradowany, że nie tylko on ma problemy z chodzeniem, bo większość z tych przemitych ludzi używa lasek, balkoników i podpórek. Czasem pożyczał sobie balkonik i – ku ogólnej radości – pilnie ćwiczył. W środę, piątek i sobotę podobni, tylko młodszy i bardziej samodzielni ludzie witali nas w kaplicy St. Martinusa, a w poniedziałki

i czwartki królował niepodzielnie Pit, na którego widok mój synek rozpromieniał się i wyciągał rączki do góry. Pit unosił go wysoko, wysoko, gaworzyli sobie obaj, a potem Michał wracał do wózka, potrząsając radośnie pękiem kluczy

od całego Pitowego gospodarstwa. Tych kilka minut modlitwy dawało mi siłę powrotu do domu, przyjęcia Wiktora takim, jakim był, znalezienia ciepła i uśmiechu dla dzieci, przetrwania pozostałych dwudziestu trzech godzin dnia. Zwykle odwiedzaliśmy też kancelarię – był tu wielki, szeroki stół

goszczący wszystkich kawą, a z czasem na Chałka czekała lemoniada. To tu mój synek zdobył przyszywaną babcię

(„bo jego prawdziwe babcie są tak daleko, że ktoś musi

je zastąpić”) i stawiał pierwsze samodzielne rozchybotane kroki. Naprawdę nie przydawałam się im na nic: nie pomagałam prowadzić kartotek, ani sprzątać kościoła, na moje wstąpienie do chóru Wiktor ostro zaprotestował, nie mogłam (choćby za względu na język) prowadzić katechizacji czy choćby pomagać w korespondencji. Po prostu tylko byłam.

A jednak otaczała mnie bezinteresowna serdeczność i miłość. Kiedy później, po trzech prawie latach, żegnałam moich przyjaciół wiedząc, że niektórych już nigdy nie zobaczę – płakałam jak bóbr, a oni wraz ze mną.

To był najspokojniejszy okres naszego małżeństwa: tych kilka miesięcy po urodzeniu Michała. Staralam się wszystko zrobić, by Wiktor nie musiał się denerwować. Przestałam pisać listy, gadać przez telefon, chodziłam w różowych koszulkach

i kwiecistych leginsach. Wiedziałam, że lodówka musi być pełna, a dom posprzątny, że pilnie muszę śledzić, czy aby wszystkie skarpetki Wiktora, tudzież swetry na łokciach

są pocerowane, a grządki w ogródku obsiane, wypielone, marchewka przzerwana i ogórki zawekowane. Znów chodziliśmy po lesie – zwłaszcza, gdy pojawiły się jagody

i pierwsze grzyby Holendrzy nie zbierają niczego w lesie – nie mieliśmy więc zbyt dużej konkurencji – najwyżej kilku

przygranicznych Niemców. Michałkowi znajdowaliśmy dużą kępkę jagód, a że siedział już samodzielnie – świetnie sobie radził z wsadzaniem ich do buzi. Cudownie było kosić kilogramami, w ilościach nieprzystoitych, wyłącznie młodziutki, do marynat podgrzybki, kurki, koźlaki

i nieprzystoite wręcz ilości najprawdziwszych prawdziwków. Znajdowaliśmy orzeszki bukowe i jadalne kasztany, które były świetne z wody ze świeżym masłem. Na rozległych wrzosowiskach spotykaliśmy rude szkockie dzikie krowy

i polskie tarpany wypuszczone na wolność przez ekologów,

by z braku rodzimych dzikich zwierząt dbały o zachwiany holenderski ekosystem. I było jakoś. Jakoś znośnie. Może nie cudownie i szczęśliwie, ale w końcu kto powiedział, że w życiu musi być szczęśliwie? Wiktor zdawał się odżywać ilekroć brał Michałka na ręce. Mieli dużo spraw wspólnych, dużo sobie

do opowiedzenia.

- Ty jesteś mój przyjaciel. Ty będziesz mnie bronić – dziecko cudowne, mądre i wspaniałe, nie tak jak Hanka, która nawet pokoju nie potrafi posprzątać, porządnie zjeść, zaśmiać się wtedy, gdy trzeba, mądrze popatrzeć... Hanka niepotrzebnie gapiała się w telewizor, złośliwie wyrastała z butów, darła rajstopy i marzła na tyżwach. Hanka to w ogóle jakaś pomyłka: historyczna i genetyczna – bo kto taką głupią widział jak ona? Wiktor próbował nauczyć ją czegokolwiek – bezskutecznie. Była niereformowalna, podobnie jak ja. Chcąc ją uchronić przed wyziskami i karami, zaczęłam pilnować, by nie miała czym podpaść. Lepiej było nawet dać jej klapsa – bo moja ręka nigdy nie pozostawiała siniaków. I tak – tępiłam moją córeczkę

– by nie była tępiona! A ona uciekała do koleżanek, godzinami wracała ze szkoły czy od logopedy, fantazjowała. Bardzo prędko zaczęła mieć obowiązki ponad wiek: niespełna siedmioletnia była odpowiedzialna za czystość łazienki i WC, do niej należało odkurzanie schodów, a z czasem część pielienia. Wszystkie te prace podlegały ścisłej kontroli.

I nie daj Bóg, by „tato” przyłapał nas na jakiegokolwiek współpracy.

- Co to jest? Znowu kłamstwo?

- Pielili sama, ale chciałam już iść, więc jej trochę pomogłam

- Pomogłaś kłamać! Marsz do składziku!

- Ona jeszcze nie jadła kolacji.

- I dobrze. Nie będzie jeść jak nie pracuje.

Zamykał składzik na kłódkę, a klucz nosił przy pasku. Późno wieczorem przemycałam do pokoju na piętrze kromkę chleba. Ale do czasu, bo gdy i na tym zostałyśmy przyłapane, zamknął się tam z Hanusią i bił, bił, bił. Zawsze ją strasznie bił.

Gdy ja broniłam. Tym dłużej i mocniej – wprost proporcjonalnie do siły mojej obrony. Ale czy bicie było najgorszym? Gdy obrała ziemniaki zbyt grubo w mniemaniu Wiktora i – by nauczyć się szacunku do jedzenia kupowanego za czyjeś (to znaczy Wiktorowe) pieniądze musiała jeść przez dwa dni gotowane obierki. Albo gdy przymuszana, by zjadła do końca, zwymiotowała – kazał jej zebrać na talerz wymiociny, a potem zjeść i podziękować.

Chatek był idealny, wspaniały, cudowny. Rzeczywiście było to dziecko bardzo inteligentne i ciepłe, o szczególnie dorosłym sposobie komunikowania się ze światem. Sprawiał wrażenie mędrca medytującego nad każdym listkiem

i wschodem słońca. Rzadko coś mówił, jakby musiał przetrwać w sobie każdą treść. Patrzył ludziom prosto w oczy i nie gonił za błyskotkami – nie przyjmował w sklepach drobiazgów czy cukierków, tylko chował ręce za siebie

i zaglądał w duszę ofiarodawcy z miną poważną, nie lękliwą. Tylko jedna Maria ze sklepu serowarskiego zdobyła jego przychylność. Ona nie uciekała wzrokiem, tylko porzucała swych klientów i kucą przed moim synkiem z wielką tacą próbek serów i, patrząc mu w oczy, opowiadała o ich zaletach

i wadach. Mówiła głosem przyciszonym, ciepłym, pełnym radości ze spotkania dawno nie widzianego przyjaciela. Chatek słuchał chwilę, by rozpromienić się swym najpiękniejszym uśmiechem. Rączki wracały do przodu i wybierał któryś

z zachwalanych kawałków. Czasem prosił o jeszcze. Tylko do Marii i Pita tak pięknie się uśmiechał...

Wiktor wciąż snuł plany zaludniania świata, a ja wierzyłam, że jeśli będzie miał jeszcze jedno dziecko, to łatwiej mu będzie kochać dwóch rozsądniej. Ktoś musiał zdetronizować Michałka dla jego własnego dobra. I tak gdy przyszły kolejne dobre dni znalazł się na świecie Bartek. Wiktor chwalił się wszystkim, że jestem w ciąży, zbierał gratulacje od sąsiadów, cieszył się. Do czasu. Do kolejnego zapicia. Bo wtedy dowiedziałam się, że

mam usunąć ciążę, bo go po prostu wrobiłam, a on sobie żadnych bachorów nie życzy. Wiedział dobrze, że nie usunę. Że to jest niemożliwe. Tym bardziej był wściekły, wyzywał, krzyczał. To dziecko od początku było tylko moją sprawą i nie mogłam liczyć nie tylko na ciepły gest, ale i na pomoc, jakkolwiek. Starłam się przetrwać, wciąż pamiętając, jak narodziny Michałka odczarowały Wiktora. Wmawiałam sobie, że gdy będzie z Tiny odbierał poród poczuje to, co za pierwszym razem, i choć teraz tyle w nim negacji – maleńkie rączka rozczulą i obudzą w nim ponownie ojca.

Mrok powoli zaciera kontury przedmiotów. Przemierzam drogę od okna do okna. Po raz kolejny. Od okna do okna. I jeszcze raz. Nie zapalam światła, bo tak lepiej widać ulicę. A ja cała jestem na ulicy: słuchem, wzrokiem, świadomością. Kiedy Wiktor ostatnio był trzeźwy? Trzy? Cztery tygodnie temu? Dzisiaj wyszedł koło południa i dotąd nie wrócił. Samochód stoi, więc nie pojechał po gorzałkę. O! Nie, to nie on – to tylko Chińczyk z sąsiedniej ulicy wraca z pracy. Znowu zaglądam na piętro, skąd widać drogę z działki. Ciemność nie chce zdradzić nic poza wąskim kręgiem latarni. Znowu kuchnia i znowu salon i znowu kuchnia. Od okna do okna. Jacyś młodzi roześmiani ludzie stukają w płoty. A jeśli poszedł na działkę

i zasnął? Zbudzi się w środku nocy i, nie wiedząc gdzie jest,

w ciemności wpadnie na inspekty, w szkło? Albo zaśnie gdzieś na szosie?... A może poszedł do centrum, nad kanałem? Boże, Boże nie wysiedzę tu dłużej! Gdzież on jest! Biegnę na piętro. Dzieci śpią.

- Haniu, Haneczko, zbudź się! Córeczko, wychodzę, jakby braciszek płakał, to go utul, ja zaraz wrócę.

- Mamo, nie idź.

- Muszę małeńka, Wiktor jeszcze nie wrócił i muszę go znaleźć...

- Musisz?

- Kochanie, tylko zajrzę na działkę, wiesz przecież – to niedaleko. Pojadę rowerem, żeby było szybciej.

- Nie idź.

- Nie mogę tak czekać, muszę.

- Uważaj na siebie.

- Nie martw się, wrócę prędko.

- Obiecujesz?

- Obiecuję kochanie.

- Mamo!

- ...

- Kocham ciebie.

- Ja cię też, córeczko.

Jeszcze raz sprawdzam salon i fragment ciemności za oknem. Wychodzę z tyłu domu furtką pomiędzy różami. Mój stary rower skrzypi i rżęzi. Stara lampka nie jest w stanie oświetlić drogi, dobrze, że towarzyszą mi latarnie. Kręta droga przecina obwodnicę i dalej – między polami równymi jak stół, rzadkimi domami o wielkich jasnych od światła oknach, koniecznie –

po tubylczemu – bez firanek i zasłon, za to z mnóstwem bibelotów i ozdóbek, między gospodarstwami i żywopłotami, aż do poprzecznej polnej drogi i tu w ciemności niemal całkowitej wreszcie ścieżką wśród działek.

Przeczesałem grządki, dróżki, obmacuję ziemię dookoła inspektów i pompy, sprawdzam za i przed kompostem i jeszcze pokrzywowe chaszczę. Przede mną w ciemności tli się ognek papierosa

- Wiktorze! Wiktorze! To ty?

- Hude morchen, mevrouw .

- Hude morchen – czy nie widział pan dziś Wiktora, tego, który ma tu ogródek?

- Polaka? Nie, już kilka dni jak się tu nie pokazuje. Pomóc pani w czymś?

- Nie trzeba, dziękuję. Dobranoc panu.

- Dobranoc, mevrouw.

Może jest już w domu, a ja tu wariuję... Wracam z powrotem, zaglądam w każdy kąt domu – nie, nie ma go. Tyle tylko,

że dzieci śpią. A może poszedł do Marcela? Czasem

go odwiedza, czasem piją razem, a potem Marcel reaguje równym obrzydzeniem na światło, hałas, co na tego upiornego Polaka. Potrzebuje zwykle tygodnia na reanimację, podczas, gdy upiorny Polak dalej pije, jeździ do pracy, awanturuje się

z żoną i podrywa panienki. A wszystko to mimo że wypił trzy razy tyle co Marcel.

- Nie, Wiktor dzisiaj nie widzieliśmy – w drzwiach stoi pulchna Betsy, żona Marcela, bardzo serdeczna dla mnie

i ciepła – Nie było go tutaj.

Ponownie sprawdzam dom i idę do Rzeźników – Henriego

i Mariette – naszych sąsiadów z naprzeciwka. Nazywamy ich rzeźnikami, bo oboje pracują w stoisku mięsnym jednego

z hipermarketów. Ich średnia córka, Veronique przyjaźni się

z Haneczką, a najstarsza Marieke lubi przychodzić do mnie

na pogaduchy, a że brakuje mi słów w jej ojczystym języku – używamy przy tym papieru, długopisu, ręk i nóg.

Dzwonię dość długo, w końcu otwiera mi umazany niebotycznie jakimś smarem Henri z kluczem rowerowym

w rękę

- O! Helo Kristina! Trzeba coś pomóc?

- Wiktor poszedł gdzieś i nie mogę go znaleźć. Był może u was?
- Stało się coś?
- Nie, wszystko w porządku, tylko niepokoję się o Wiktora.
- Daj spokój, to duży facet, nie zginie. Chodź lepiej napij się z nami kawy.
- Dzieci są same w domu, muszę wracać
- Wieczór się dopiero zaczął. Dzieci śpią, a Mariette się ucieszy. Ja co prawda – pokazuje, śmiejąc się, brudne ręce – nie bardzo tego, ale wy sobie pogadacie.
- Dziękuję, nie tym razem
- Jak chcesz. Twoja sprawa. Może się jeszcze namyślisz.

A sprawdzałaś u Niemca?

Prawda. Mógł pójść do Niemca. Graniczymy z nim ogrodami. Po drodze zaglądam do domu. Dzieci śpią. Wiktora nie ma. Więc może rzeczywiście jest u Niemca. Idę naokoło, do drzwi frontowych, bo przecież o tej porze nikt mnie nie wpuści furtką ogrodową. Mijam grupkę rozbawionej młodzieży. Małe, kręte uliczki, przejście przez kanał i z powrotem drugim mostkiem. Ale w oknach ciemno. Zarówno na parterze, w salonie jak

i na piętrze. Czyżby ich nie było? No tak: przecież dzisiaj sobota – a oni zwykle wyjeżdżają na weekendy. Zaglądam jeszcze za żywopłot, na trawnik przed drzwiami – czy nie leży tu Wiktor, ale go nie ma. Boże! Gdzież on jest? Wracam do domu. Znowu sprawdzam każdy kąt i czy dzieci śpią spokojnie. Wsiadam na

rower i jadę do centrum. Monopolowy zamknięty o tej porze wita mnie wygaszonymi światłami.

Nie widać Wiktora ani na parkingu, ani na dworcu kolejowym. Knajpa. Właśnie. Trzeba sprawdzić. Wchodzę do małego, niebotycznie zadymionego pomieszczenia. Czuję się strasznie głupio i mam wrażenie, że wszyscy gapią się na mnie, na moje kwieciste leginsy i czerwoną kurtkę. Śmierdzi trawą, tanim piwem, chińskim żarciem. Nie ma go tu. Wybiegam na ulicę

z trudem łapiąc oddech. Mój rower znowu skrzypi. Znowu wracam i sprawdzam dom. I znowu z tym samym rezultatem. Wilczym zwyczajem zataczam kręgi wokół domu – zaczynając od bardzo ciasnych, po coraz większe. W ten sposób, jeśli tylko będzie wracał skądkolwiek mam szansę go spotkać

na którejś z ulic. Wąskie dróżki – korytarze pomiędzy

dwu-i-pół metrowymi płotami holenderskich ogródków, szerokie ulice rzęsiście oświetlone, dróżki rowerowe, mostki

z tej i tamtej strony kanału. Przejścia i ścieżki rowerowe, uliczki pomiędzy rzędami domów-segmentów, parkingi, parki. I nigdzie go nie ma. Ani śladu. Znowu wracam do domu

i znowu wyjeżdżam szukać. To jest jakaś gorączka, graniczny

z obłędem, ale nie umiem już stanąć w miejscu. Miasteczko powoli zamiera. Jeszcze tylko ciepłe światła salonów

i gdzieś tam śmiech z ogródków świadczą, że mieszkańcy Neechem nie poszli spać. Sprawdzam kolejne knajpy, bardziej lub mniej zadymione, bardziej lub mniej oblegane. Mijam kolejnych nieznajomych ludzi – obojętnych, uprzejmych,

napastliwych. I w końcu w przestronnym pubie po drugiej stronie kanału, przy szerokim barze z dębowym blatem siedzi, puszczając kółka z dymu, mój mąż. Stoję chwilę nie mogąc się ruszyć. Wszystkie nerwy tego dnia odchodzą, drzę, a moje nogi robią się podejrzanie miękkie.

- Podać coś, mevrouw ?

- Mevrouw! Słyszysz mnie pani? Podać coś? - To wielki, barczysty barman. Ma w sobie coś z Pita-kościelnego.

- Nie... dziękuję... ja do – pokazuję ręką

- Wiktor! Ktoś do ciebie.